

[„Zapach trzciny”, koncert w piwnicy]

Głos w domofonie kobiecy, obcy, zaskoczony i nieufny.

- Tomek Woy, kolega Marka z liceum – odpowiada Tomasz na pytanie.

- Marek! – Damski głos słyhać teraz gorzej, usta widocznie odsunięte od słuchawki, dłoń na mikrofonie, ale niedokładnie, bo słyhać, głowa pewnie zwrócona w czeluść mieszkania. – Do ciebie, jakiś kolega!

- Tak? – teraz głos męski, znajomy. A w oddali tamta kobieta: Umawiałeś się z kimś?

- Cześć, Marek, Tomek Woy, pomyślałem, że wpadnę...

- Tomek!? – Głos męzczyzny w tym jednym słowie, w pauzie po nim, zmienia się z zaskoczonego i niechętnego w rozradowany i serdeczny. – A ty skąd? Wchodź, wchodź, już wpuszczam!

Brzęczenie zamka, drzwi stają otworem.

- Które to piętro, bo nie pamiętam? – Ale Marek już nie słyszy, już odłożył.

Ósme, bo numer dwadzieścia siedem, a trzy mieszkania na kondygnacji. Policzył, zanim winda zjechała, zgrzytajaca o krzywe prowadniki i piszcząca.

- Tomek! – Marek wita w drzwiach, szczerze, robią niedźwiedzia, Dorota podaje rękę po męsku, ze kurtuazyjnym uśmiechem na twarzy, tak, ma na imię Dorota, a jeszcze przed chwilą nie pamiętał, i już do pokoju, w fotel, mały brązowy jamnik wypada skądś z chrapliwym ujadaniem, po chwili łasi się wywijając z zapalem cienką pytką ogonka. Kawy? Kawy.

Na stoliku pojawia się brandy i kieliszki. Dorota stawia paterę z ciastem.

- Nie, ja nie bardzo, w Katowicach pod dworcem samochód zostawiłem, a już piwo...

- No co ty, nigdzie dziś nie pojedziesz, balangę zrobimy, zaległą stypę, prawda, Docu? – Marek przygarnia żonę i przytula policzek do jej biodra.

Zgrzytnęło.

- Lince obiecałem, że wrócę... - Próba pominięcia, uznania za niewypowiedziane. Ale wisi pomiędzy i trzeba coś z tym zrobić, bo zagnieżdzi się na dobre i wszystko będzie na nic.

- Właśnie, czemu bez Linki? – Marek nie wraca do tamtego, nie przeprasza, nie prostuje.

- Nie mogła, umówiła się wcześniej, a to tak spontanicznie wyszło...

Nieprawda, nie chciała. Będziecie rozdrapywać, memać przeszłość, wracać i wracać, a ja nie chcę, jednym zdaniem rozstrzygnęła dylemat, czy wypada samemu. Linka nie lubi nostalgii, zwłaszcza z podtekstem stareńskiego, pierwszego uczucia, do którego nie chce się przyznawać. Linka nigdy nie patrzy za siebie. Woy czasem ma wrażenie, że Linki życie zaczęło się, gdy odrzuciła swoje indywidualne plany i poszła za nim. Może to tylko wrażenie.

- Szkoda... Ale, w sumie, może i lepiej, zrobimy samczą noc. Co, Dotka? Pozwolisz zaszałeć do rana? Nie pogonisz do spania i nie będziesz marudzić, że głośno?

Dorota uśmiecha się, jasne, mówi, upijcie się, coś się Leszkowi należy, skoro Maruś pogrzeb odpuścił. Jako substytut - może być...

- Przestań – Marek poważnieje. Podnosi kieliszek na wysokość oczu, okrężnym ruchem kołysze meniskiem bursztynowego trunku. – Tomek... muszę cię przeprosić. Głupio wyszło. Z tym wyjazdem, z pogrzebem.

Tomasz przechyła kieliszek i wypija całość jednym haustem. To też substytut – walnięcia pięścią w stół. Grubego przekleństwa. Dania w mordę.

- Myślałem... - mówi w kieliszek – że to było coś więcej niż wspomnienie młodości...

- Słuchaj – Marek pochyła się nad ławą, zbliża twarz do twarzy Tomasza. – Ciągle się dziwisz, że inni wspólnego bycia w paczce, w grupie z racji zainteresowań, w jednej klasie w szkole czy czegoś w tym guście, nie traktują jakoś wyjątkowo? Wasza przyjaźń to było coś większego, każdy to widział, ale niekoniecznie podzielał... Nie wymagaj ode mnie, żebym wyłączał sobie życie i leciał na drugi koniec Polski z powodu śmierci kolegi... Nawet bliskiego, jak Leszek. To był tylko kolega. Fajny, zdolny. Bliski. Ale kolega - z klasy, z zespołu, z tej ławki za strażą, gdzie chlaliśmy wino z butelki.

Ktoś już to Tomaszowi mówił, ktoś tak samo bliski jak Marek.

- Rozmawiałaś z Teresą?

- Nie, kiedy? O czym...? – Marek miesza się nagle, opuszcza wzrok w resztkę brandy w kieliszku. – Rozmawiałem – mówi po dłuższej chwili milczenia. – Dzwoniła jakiś miesiąc temu. Uprzedzała...

- Wiedziałaś, że przyjadę?

- Nie, coś ty... Teresa też nie wiedziała, domyślała się tylko, że zechcesz widzieć się ze mną, że szukasz, na kogo by tu zwalić choć część winy za Leszka, za jego efcą samotność, że go wszyscy zostawili, że pozwolili się stoczyć.

Szukanie winy? Tomasz nagle czuje się trafiony. Oszukiwał sam siebie, oczekując nadzwyczajnych emocji zamiast zwyczajnych ludzkich odruchów? Szukając swoich emocji w reakcjach reszty świata? Dlaczego oburzał się, gdy ich nie znajdował?

Co to kogo obchodzi??? Trzeba było widzieć samemu. Nie widział? Nie wiedział? Nie słyszał? Nie chciał...?

- Nikogo nie chcę obwiniać... - mówi cicho. – To jakoś samo tak wychodzi, bo przecież byli, widzieli, co dzień widzieli...

- Daj spokój – mówi Marek. – Daj już spokój. Nie każdemu życie musi się układać, nawet bezdomne lumpy mają swoich kolegów z klasy. Normalnie, każdy pościelił sobie po swojemu. Dlaczego inni mają czuć się za to odpowiedzialni?

- Dobra – Tomasz oddycha głęboko, wydycha z siebie tę złość, tę pretensję bez adresata. – Masz jakąś konkretną wódkę? Przy pomocy brandy urzynać się nie mam zamiaru.

- Załatwi się – Marek też oddycha, zapora zdaje się rozpadać. – Nisia! – woła w głąb mieszkania.

W drzwiach pojawia się wysoka, szczupła nastolatka.

- To moja córka, Niśka – przedstawia Marek. – Nisiu – zwraca się do niej – jest tu ten twój absztyfikant?

Dziewczyna rumieni się i kiwa twierdząco głową.

- Poproś go, niech skoczy do pawilonu i kupi dwa, albo nie, lepiej trzy Absolwenty. Zero siedem. Tu masz pieniądze – podaje dziewczynie zwitek banknotów.

Niśka znika. Po chwili słychać trzaśnięcie drzwiami.

- No, załatwione – Marek uśmiecha się, rozluźniony. – A my w międzyczasie jeszcze po koniaczku?

- ... wiesz, do dziś, gdy komuś, rozumiesz... opowiadam... nie wierzy – Tomaszowi lekko płacze się język. – Wierzysz mi, Dorota? Wierzysz?

- Ale w co? Dokończ wreszcie!

- Przepraszam, trochę... już wypilem. Ten facet...

- Leszek?

- Leszek... po maturze szliśmy na studia, nikt nie wiedział, nie przypuszczaliśmy... do głowy nikomu nie przyszło... A Lechu złożył papiery na Uniwerek Warszawski. Na prawo, kapujesz? On, który ledwie niekiedy z klasy do klasy...

- Co chcesz, każdy może...

- Tak... Ale on – wtrąca się Marek – zdał od pierwszego strzału... Dwunastu na jedno miejsce, a zdał Leszek...

- To o niczym nie świadczy – powątpiewa Dorota. – Ilu

jest takich niedocenionych w szkółce, a potem na studiach sobie radzą...

- Ale to jeszcze nie koniec – mówi Tomasz. – On tych studiów nie skończył, wiesz?

- Domyślam się – Dorota kiwa głową.

- Niczego się nie domyślasz... Wyleciał po pierwszym roku... Wiesz, za co?

Dorota patrzy wyczekująco, ale chwila przerwy, bo się Tomasz zapowietrzył i wypić trzeba, bo stygnie... Zakąsić śledzikiem, a jakże... - On wyleciał... - Tomasz mówi z pełnymi ustami, niewyraźnie – za roszyjszki, kapujesz? Ż powodu roszyjskiego! – przełyka i popija wódką.

- Co ty gadasz? Rosyjskiego?

- Tak jest! Nie zaliczył rosyjskiego po drugim semestrze, w dodatku spalił tylko pierwsze podejście...

- I wrócił do Ełku! – Marek wpada mu w słowo, on też zna tę historię. – Nawet nie próbował poprawiać, a to było tylko zaliczenie...

- Czujesz to...? Zrezygnował z prawa na UW, dwunastu na jedno miejsce, z powodu zaliczenia z ruska...

- Głupi, czy co?

Woy kręci przecząco głową.

- Nie głupi. To był cały Leszek... Nawet nikt się specjalne nie zdziwił...

- Dla mnie – głupi...

Tyle o Leszku. Wypić trzeba. Na dworze już ciemno, w głowie ćmi coraz bardziej.

- Masz gitarę? Zagrałbym coś.

- Nie mam, już dawno... - Marek zamyśla się. – Mam pomysł. Zagramy... po dawnemu, co?

- Jak po dawnemu?

- Czekaj – Marek wstaje i wychodzi do przedpokoju. – Niśka! Dawaj absztyfikanta!

- Marek! – Dorota mityguje, ona nie pije równo z nimi,

jeszcze zachowuje samokontrolę.

- Cicho... - Marek macha ręką, ogania się jak od muchy. Z pokoju obok wychodzi Niśka z chłopakiem. – Marcin, zagrasz ze zgredami? Z dinozaurami prehistorycznymi zagrasz?

Marcin z Nisią patrzą na siebie rozbawieni.

- Jasne, panie Marku, skoczę po klucz od piwnicy.

Chłopak z dziewczyną wychodzą, a Marek mówi:

- Widzisz, Tomuś, mam tu zięcia-muzyka! Perkusista w tutejszym zespole, jakieś ska grają, cy coś... Tu obok, w klatce, mają swoją piwnicę, cały sprzęt tam jest. Pogramy, Tomek? Z Marcinkiem na perkusji!

Idą do klatki po sąsiedzku. Klub to naprawdę piwnica, schodzą krzywymi, byle jak uformowanymi schodami z surowego betonu, które oświetla zakurzona, goła żarówka. Marcin czeka przed odrapanymi drzwiami bez klamki, z nim Nisia. Śmieją się, ale życzliwie, zauważa Woy, bez ironii, że starym pierdzielom zachciało się grania, raczej czekają na pokaz umiejętności. Pewnie słyszeli, tatuś Nisi musiał opowiadać o sławnym zespole The Green Dog z powiatowego miasta Ełku. Marcin otwiera, wchodzi.

W środku prawie profesjonalne studio. Ściany wyłożone wytłoczkami do jajek, w celu wytłumienia hałasu – dbałość o sąsiadów godna podziwu. Gitary na stojakach, z boku jakieś klawisze, saksofon w futerale, pośrodku duży zestaw perkusyjny. Wzmacniacze z podłączonymi odsłuchami, konsola dźwiękowca.

- Widziałeś, Tomek, jakie bajery chłopcy mają? – Marek szerokim gestem wskazuje rozstawiony sprzęt. – Myśmy ani pół procenta tego...

Marcin pstryka włącznikami.

- Mikrofon będzie potrzebny? – pyta.

- Ja wiem...? – waha się Marek. – Pośpiewasz coś, Tomek?

- Lepiej nie... Nie będziemy straszyć młodzieży, pogra-

my tylko... - Tomasz przekłada pas gitary przez ramię. To profesjonalny Gibson, trapezoidalny model Firebird. Decha coś nie leży, no jasne, do brzucha nie pasuje... - Zagrasz na basie, czy gramy na dwie?

- Na basie to ciebie bym posłuchał... - Marek bierze drugą gitarę, czerwoną Yamahę.

- Koniu, znaczy, kolega, swój zabrał do domu – odzywa się Marcin zza bębnow. – Jest tylko ten stary rupieć – wskazuje na odrapaną basówkę niewiadomej marki.

- To obejdzie się... Ja zresztą basu od szkoły w rękach nie miałem... - Woy trąca palcem struny Gibsona. Pomieszczenie wypełnia się monumentalnym dźwiękiem, aż chce się uderzyć mocniej. - Jest gdzieś kostka?

- Jest.

- No to, młody, nabijaj coś. Z jajem.

- Ale co? – Marcin kręci pałeczką na palcu.

- Obojętne, byle szybko i na cztery.

I leci szybki, rock'n'rollowy gęsty rytm z werblem w roli głównej. Leci, leci, sam, unisono... aż wjeżdża w ten rytm ostre glissando spod Tomkowych palców i na dole, na samym dnie mrocznych basowych tonów przemienia się w dudniący riff. Na wysokich progach odzywa się podciągającym jękiem gitara Marka i Tomasz czuje, jak od karku po łydki przechodzi go mrowienie napływającej adrenaliny. Grają, kurwa! Grają...! W jednym akordzie, w emolu, Woy podrywa gitarę do szalonej improwizacji w szesnastkach, Marek leci tylko stłumionymi kantem dłoni dwudźwiękami, a Marcin, obcy przecież i z innej generacji muzycznej, eony, zdałoby się, od nich, wbija się ostrym staccatem na rancie bębna pomiędzy dźwięki, wyczuwa to, prowadzi rytm, jak gdyby nigdy nie grał inaczej, jakby był tu lat bez mała czterdzieści i na imię miał Leszek... A potem, w ślad za Woyowym marszem w dolne rejestry, równiutkim przejściem przez bębny, od werbla po największy, szesnastacalowy, niczym John Bonham we „Whole Lotta love”, wykańcza

frazę i teraz dudni na szesnastce i centralnym, bez talerzy; głuchy stukot tworzy nowy klimat, za którym Marek podąża rzadkimi, niskimi, trzystrunowymi akordami. Woy wspina się z powrotem ku górze gryfu, powielając po drodze prosty riff w coraz wyższych oktavach. Tam gra krótkie tremolo, by na koniec uderzyć ostro w dolne E i markując basy pozwolić wypłynąć Markowi.

Grają tak, nie zważając na mrok za zakurzonym okienkiem, na rozbłysk lampy, którą zapala Nisia, na czerwone i zielone lampki konsoli, przy której dziewczyna od dłuższego czasu majstruje. Płyną minuty, jedna za drugą, składają się w kwadransy, niezauważenie, dyskretnie, tak, by nie przeszkadzać, nie gonić przypominaniem, że mijają jednak. Dźwięki huczą w odsłuchach, błędzą między ścianami i płaczą się w tekturowych wytłoczkach. Potem, gdy czas decyduje się jednak wtrącić swoje trzy grosze, wychodzi jakoś samo: duży akcent Marcina na centralnym, pałeczki na szesnastce – i talerze. A Woy z Markiem kończą pochodami: jeden w górę, drugi w dół. Ostatni dźwięk, ostatni akord. I cisza.

Długa cisza.

W ciszy słychać ciche dźwięki od strony konsoli. Tomasz widzi kręcące się szpulki magnetofonu. Z głośników ponownie wypływa muzyka. To ta sama: jak inaczej brzmi, gdy słyszysz ją z zewnątrz, jak pełniej...

- Nagrałaś to?

Niška kiwa głową z uśmiechem.

- Musiałam, bo chłopcy z grupy nie uwierzyliby. Tatku... to było... genialne! Super...

Marcin wyłazi zza bębnow.

- Panie Tomaszu, dziękuję – wyciąga rękę do Woya, zapominając o różnicy wieku. – Pięknie było.

- To ja dziękuję – Tomasz uśmiecha się do niego. Potrząsa jego dłonią. – Gratuluję wyczucia, świetnie grasz. Chciałbym kiedyś posłuchać waszego zespołu.

- Dziś się nie da, chłopcy porozjeżdżali się na wakacje, ale jesienią zapraszam na koncert.

- Skorzystam – Woy ponownie uśmiecha się do chłopaka, wyraźnie dumnego z pochwał.

- To co, zagramy jeszcze? – Marek jest rozochocony, ma ochotę na dalszy ciąg.

- Nieee... starczy. Nie czuję palców. Wiesz, że ja gitary prawie do ręki nie biorę?

Wychodzą na dwór. Jest ciemno, choć oko wykol, nie świeci żadna latarnia. Idą z powrotem, ale wolno, z ociąganiem, żal zostawiać tamten nastrój, tamtą muzykę, tamtą chwilę.

- Teraz już tylko upić się przyjdzie – mówi Marek.